

# INWOKACJA

**SCENARIUSZ, MUZYKA: Witold Dąbrowski**

**AKTOR: Witold Dąbrowski**

**REZYSERIA: Tomasz Pietrasiewicz**

**Wykorzystano utwory Wacława z Szamotuł, Mikołaja Gomółki i J.S.Bacha.**

**Przedstawienie powstało w Teatrze NN, premiera 16.05.1992**

Nie trzeba, abys opuszczał dom.  
Zostań przy swoim stole i słuchaj.  
Nie słuchaj nawet, czekaj.  
Nawet nie czekaj, bądź tylko cichy zupełnie i samotny.  
Świat przjdzie sam do Ciebie, bys go demaskował.  
A ty kuku, stary nieszczęsny kuku  
co robisz wciąż na mojej drodze?  
Dokąd idę, tam siedzisz i rozpościerasz tę parę piór. Natrętny.  
A kiedy stajesz przede mną i patrzysz na mnie,  
co wiesz o moich bólach,  
a co ja wiem o twoich?

O Światło Niewidzialne!

Światło Mocniejsze!

dziękujemy Ci za mniejsze światła.

Za Wschodnie światło dotykające naszych wież w godzinie poranku,  
za Światło padające ukośnie na nasze zachodnie drzwi w godzinie wieczoru

i za światło nad stojącymi wodami, gdy nietoperz przelatuje w mroku.

Za Światło księżycy i Światło Gwiazdy,

Światło sowy i Światło ćmy

i Światło świętojańskiego robaczka.

Dziękujemy Ci za wzniecone przez nas światła,

za światło ołtarza i światło sanktuarium,

za małe światła tych, którzy medytują o północy,

i za światła padające przez kolorowe szyby w oknach,

i za światło odbite od oszlifowanego kamienia,

od rzeźbionego, wyłoczonego drzewa, od kolorowych fresków.

Dziękujemy Ci przeto za nasze małe światło przemieszane z cieniem .

Dziękujemy Ci za to, że Ciemność przypomina nam o świetle.

O Światło Niewidzialne, dzięki Ci za Twą wielką wspaniałość.

To przychodzi nagle, tak nagle  
już od wielu lat jak zabłąkany ptak .  
Z innego snu z innej opowieści  
A ja wciąż patrzę i jestem tylko zimnym okiem  
błękitnym ekranem  
po którym jak krople wosku spływają zapamiętane obrazy  
Często tak blahe, tak blahe  
jak kosmyk włosów, ciepło czyjegos oddechu, biały latawiec  
Dlaczego milczałem gdy lata biegły  
coraz bardziej zmęczone  
a ja trzymałem w sobie jak w ścisniętej dłoni  
słowa które przecież nic nie mogły zmienić  
kilka rozgrzanych węgielków - tak śmiesznie mało  
Przeciw własnemu losowi, przeciw Ciemności która nadchodzi  
A to powoli rosło we mnie  
miętko i cicho i cicho jak mech - wysłannik wieczności  
Teraz jest częścią mojej niepokornej modlitwy  
Mojego szaleństwa  
Mojej choroby  
Mojej niezagojonej rany  
Moim bólem

Już się zmierzcha, nadchodzi noc.  
Poprośmy Boga o pomoc  
Aby On naszym stróżem był  
Od złych czartów nas obronił  
którzy najwięcej w ciemności  
używają swej chytryści

Pater noster, qui es in caelis:  
sanctificetur nomen tuum.  
Adveniat regnum tuum.  
Fiat voluntas tua, sicut in caelo et in terra.  
Panem nostrum supersubstantialem da nobis hodie.  
Et dimitte nobis debita nostra, sicut et nos  
dimittimus debitoribus nostris.  
Et ne nos inducas in tentationem.  
Sed libera nos a malo. Amen.

- Ktoś ty?
- Burmistrz.
- Wiedziałem, panie burmistrzu, ale w pierwszej chwili zawsze o wszystkim zapominam, wszystko mi się mąci i lepiej, że pytam, nawet kiedy wiem wszystko. I pan zapewne wie, że jestem myśliwym.
- Oczywiście. Pańskie przybycie zapowiedziano mi dzisiaj w nocy. Do mojego ucha przyfrunął gołąb i powiedział: "Jutro przybędzie zmarły myśliwy, przyjmij go w imieniu miasta".
- Tak, gołębie mnie wyprzedzają. Czy sądzi pan jednak, panie burmistrzu, że powinienem tu zostać?
- Tego jeszcze nie mogę powiedzieć. Czy pan nie żyje?
- Tak, jak pan widzi. Przed wielu laty, musiało chyba niezmiernie dużo lat upłynąć, runąłem ze skały w Czarnym Lesie. Od owego czasu nie żyję.
- Ale pan przecież i żyje.
- W pewnej mierze, w pewnej mierze żyję. Łódź zmarłych zmyliła ze mną drogę, fałszywy obrót steru, chwila nieuwagi przewoźnika; nie wiem co to było, wiem tylko, że pozostałem na ziemi i że odtąd moja łódź płynie po ziemskich wodach. Tak więc ja, który chciałem żyć tylko w moich górach, podróżuję po śmierci przez wszystkie kraje świata.
- I nie należy pan do tamtego świata?
- Jestem zawsze na dużych schodach, które prowadzą do góry. Wałęsam się po tych nieskończenie długich schodach, to u góry, to na dole, to z prawej, to z lewej strony, wciąż jestem w ruchu. Myśliwy przemienił się w motyla. Niech się pan nie śmieje.
- Nie śmieję się.
- Bardzo rozsądnie. Zawsze jestem w ruchu. Kiedy jednak biorę największy rozmach i już dochodzi do mnie blask bramy na górze, budzę się w starej łodzi tkwiącej beznadziejnie pośród jakiejś ziemskiej wody. Zylem chętnie i chętnie zmarłem i wśliznąłem się w całun jak dziewczyna w ślubną suknię. Potem stało się nieszczęście.
- Zły los. A pan nie ponosi w tym żadnej winy?
- Żadnej.
- Kto więc ponosi winę?
- Żeglarz. Nikt nie usłyszy tego co tutaj mówię, nikt nie przyjdzie mi z pomocą: gdyby wyznaczono zadanie udzielenia mi pomocy, wszystkie drzwi wszystkich domów, wszystkie okna pozostałyby zamknięte, wszyscy pozostaliby w łózkach z głowami przykrytymi kołdrą, cała ziemia byłaby nocnym zajazdem. Myśl o udzieleniu mi pomocy jest chorobą i trzeba ją leczyć w łóżku.
- To niezwykle, niezwykle. A teraz zamierza pan zostać u nas?
- Nie zamierzam. Jestem tutaj, nic więcej nie wiem, nic więcej nie mogę uczynić. Moja łódź jest bez steru, płynie z wiatrem, który wieje w najgłębszych regionach śmierci.

- Pamiętasz kiedyś powiedziałaś: "chciałabym być przy tobie, kiedy jesteś w tym miejscu - w swoim teatrze."

- A przecież nie można być nigdy dostatecznie samotnym, nie można mieć wokół siebie dość milczenia, noc jest jeszcze za mało nocą.

Byłem zeszywniały i zimny, byłem mostem, leżałem nad przepaścią. Z tej strony były wwiercone palce nóg, z tamtej ręce, wryzłem się mocno w kruszącą się glinę. Poły surduta powiewały mi z boków. W głębi szumiał potok z pstrągami. Zaden turysta nie zabłąkał się na tę niedostępną wysokość, most nie był jeszcze zaznaczony na mapie.

- Tak leżałem i czekałem; musiałem czekać. Raz zbudowany most, jeśli nie runie, nie przestaje być mostem.

Pewnego razu pod wieczór - czy to był pierwszy, czy też tysięczny, nie wiem - moje myśli krążyły wciąż w nieładzie i wciąż w koło. Pod wieczór latem, gdy strumień szumiał posępnie, usłyszałem krok mężczyzny! Do mnie, do mnie.- Wyciągnij się moście, bądź gotowa belko bez poręczy, utrzymaj tego, którego ci powierzono. Wyrównaj niepostrzeżenie chwiejność jego kroku, a jeśli się zachwieje, daj się poznać i rzuć go, niby bóg gór, na ziemię.

Przyszedł, opukał mnie żelaznym końcem laski, potem podniósł nim poły mojego surduta i ułożył je na mnie. Koniec laski zanurzył mi w rozmierzwione włosy i pozostawił go tam na długo, zapewne rzucając dokoła dzikie spojrzenia. Potem jednak - właśnie marzyło mi się, że jest już za górami i lasami - skoczył obiema nogami na środek mojego ciała. Wzdrygnąłem się w gwałtownym bólu, nic nie wiedząc. Kto to był? Dziecko? Sen? Rozbójnik? Samobójca? Kusiciel? Niszczyciel? Odwróciłem się aby go zobaczyć. - Most się odwraca! Jeszczem się nie odwrócił, a już runąłem, i już byłem rozdarty i nadziany na ostre krzemienie, które tak spokojnie wpatrywały się we mnie z rozpędzonej szaleńczo wody.

Przed wejściem do sanktuarium  
musisz zdjąć buty.

Ale nie tylko buty lecz wszystko:

podróżny strój i bagaż,

a potem swoją nagość

i wszystko co jest pod nagością

wszystko co pod nią się kryje.

Potem jeszcze pozór nieprzemijającego ognia.

Dopiero sam ogień daje się wchłonać

i będzie wchłonięty przez przenajświętsze.

Jedno drugiemu nie może się już oprzeć.

Duch mój złamany, dni moje wypaliły się,  
cmentarz jedynie dla mnie.  
Dni moje ubiegły, zamiary moje przeminęły,  
wszystkie pragnienia mego serca.  
Noc w dzień chcę przemienić,  
mówią: światło w ciemności jest blisko.  
Zaiste, czekać muszę na Otchłan  
mój dom, w ciemności usłać sobie łożę.  
Do zgnilizny wołać: "Ojcem moim jesteś",  
do robactwa: "Matko i siostró moja".  
Gdzież więc moja nadzieja,  
moją nadzieję kto będzie oglądał?  
Zstępuje ona do bram Otchłani  
i razem z nią legnę w prochu.

Jeżeli udałeś się w drogę, idź nią dalej, za wszelką cenę,  
możesz tylko na tym zyskać, nie narażasz się na  
niebezpieczeństwo,  
u kresu może runiesz, ale gdybyś po pierwszych krokach zawrócił  
i zbiegł ze schodów, runąłbyś na samym początku  
i to z wielką pewnością.  
Jeżeli zatem nie znajdziesz tu nic na korytarzach, otwórz drzwi,  
ale jeśli za drzwiami nic nie znajdziesz, są jeszcze inne  
piętra,  
a jeśli na górze nic nie znajdziesz, nie ma nieszczęścia,  
wejdź na nowe schody.  
Dopóki nie przestaniesz wchodzić, dopóty nie kończą się stopnie,  
pod twoimi wspinającymi się nogami wciąż rosną w górę.

A teraz zegnaj moja Wyobraźnio  
Odchodzę i nie wiem, na jakie drogi, na jaki los  
i czy ujrzę ciebie jeszcze.  
Zegnaj więc  
Na zakończenie pozwól mi obejrzeć się za siebie  
Już coraz ciszej, coraz słabiej zegarek we mnie tyka  
Odchodzę, zapada zmrok, ustaje bicie serca  
Lecz pozwól, pozwól jeszcze nie śpieszyć się tak bardzo:  
Zyliśmy długo razem i przenikali w siebie,  
aż staliśmy się jednym  
Skoro więc umieramy, to umieramy razem  
i razem idziemy na spotkanie przyszłości  
być może staniemy się radośniejsi i bogatsi,  
czegoś się nauczymy  
Być może - wreszcie moją prawdziwą pieśń zapowiesz.

A teraz już lekko  
Spomiędzy murów potężnej fortecy  
Spod straży zamków, spod opieki zatrzaśniętych drzwi  
Dajmy się unieść w górę  
Powinniśmy wysliznąć się bez szmeru  
Kluczem łagodności odrygluj zamki  
Szeptem każ otworzyć się drzwiom, duszo  
Lekko - nie bądź niecierpliwa  
(Mocny twój uchwyt, o ciało śmiertelne  
Mocny twój uchwyt, o miłości)